

Sokołowski, Michał

Leśniczówka w Korzeniu jaką pamiętam

Nasze Korzenie 4, 91-101

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Michał Sokołowski

Leśniczówka w Korzeniu jaką pamiętam

KORZEŃSKI LAS

Las przedwojennego leśnictwa Korzeń – w Nadleśnictwie Łąck – zajmował powierzchnię 1812 hektarów (każdorazowo wchodząc do lasu czytałem głoszący to napis na tablicy przybitej do słupa pomalowanego w czerwone i białe pasy). Na obszarze tym znajdowało się należące do leśnictwa jezioro Zdwońskie – duży, chyba kilkusethektarowy akwen. Było tam miejsce biwakowania corocznych obozów harcerskich, również plaża nawiedzana licznie przez letników z pobliskiego Gębina (niemal wyłącznie Żydów). Z jeziora tego dość często mieliśmy na stole znakomite ryby i raki. Jesienią wiele emocji dostarczały myśliwym polowania na przelatujące stada kaczek, których była tam wielka obfitość. W ostatnich latach przedwojennych, pod koniec wakacji, niemal codziennie razem z bratem Jankiem sypaliśmy śrut w kierunku przelatujących na żerowiska stad, najczęściej z wynikiem zgoła kompromitującym.

Las w Korzeniu charakteryzował się bogatymi siedliskami w części zachodniej i nieco uboższymi w części wschodniej. Był lasem zdrowym, dobrze zagospodarowanym. Nie pamiętam żadnych klęsk zagrażających drzewostanom. Nawet motyl barczatka sosnowka (*Dendrolimus pini*), „modny” wówczas szkodnik sosny, nie wymagał zwalczania. W części wschodniej w ostatnich latach przed wojną rozmnożyły się bardzo dzikie króliki, które wyrządzały dotkliwe szkody w uprawach sosnowych. Mimo to polubiłem te zwierzątka, dostarczały mi bowiem wielu wrażeń myśliwskich podczas wakacyjnych pobytów w domu.

Na terenie leśnictwa były dwie niewielkie szkółki produkujące sadzonki gatunków iglastych na potrzeby własne, a także dla zalesień

gruntów prywatnych (tzw. sejmikowe). Stanowiły one przysłowiowe oczka w głowie mojego Ojca, który wśród leśników uchodził za autorytet w dziedzinie hodowli lasu. Nowością stanowił jego pomysł zastosowania wysiewu łubinu trwałego, jako osłony bocznej przy wprowadzaniu dębu na powierzchnię pozrębową. Dzisiaj można to uznać za inicjatywę idącą w kierunku przebudowy drzewostanu – zastąpienie sosny dębem w celu wykorzystania naturalnych właściwości siedliska. Z tą uprawą dębową wiąże się cała historia o zgoła nieoczekiwanym zakończeniu.

W swoim czasie Ojciec często w domu mówił o tej uprawie, nie kryjąc z troskami. Był to również nierzadki temat dyskusji w gronie miejscowych leśników. Jak pamiętam, w obejściu leśniczówki znajdowała się tzw. alemanka – nakryty dachem dół do przechowywania żołądź. Na tej podstawie można przypuszczać, że materiału siewnego było na miejscu pod dostatkiem, a że dzików tu w ogóle wtedy nie było, zastosowano siew wprost na przygotowaną glebę, co – jak pamiętam – było wówczas zalecane. Jednakże siewki dębu nie chciały iść w górę, jedynie wegetowały przy ziemi, z tendencją do rozkrzewiania się. I wówczas Tato wymyślił zgoła genialne na owe czasy rozwiązanie: całą powierzchnię obsiał nasionami łubinu trwałego, który dając dąbkom osłonę boczną przed przymrozkami, zmusił drzewka do wzrostu w górę – ku światłu! Uprawa ruszyła i jeszcze przed wojną poczęła przybierać postać młodnika. Kilkakrotnie bywałem tam z Ojcem i dobrze zapamiętałem, w której części leśnictwa znajdowała się ta powierzchnia.

Nie zdarza się chyba w ogóle, by leśnik oglądał założony przez siebie drzewostan w wieku rębny lub bliskorębny. Nieczęsto też dzieci leśników mają okazję do oglądania fragmentów dzieł życia swych ojców. Odwiedzając po wielu latach, w czerwcu 2011 roku,

Okolice Korzenia na mapie Wojskowego Instytutu Geograficznego z okresu międzywojennego, skala 1:100 000. Podkreślono miejscowości wymienione w tekście.



korzeńskie lasy, przypomniła mi się historia owej dębiny poczętej w czasach mojego dzieciństwa. Gospodarujący obecnie w Korzeniu leśniczy, pan Fryderyk Walczak, sprawił mi nieopisaną radość pokazując dorodny drzewostan właśnie w tej, zachodniej części kompleksu. Odnosny zapis w aktualnym operacie urzędziowym głosi, co następuje: *W oddziale 255a Leśnictwa Korzeń, na powierzchni 17,74 ha, znajduje się drzewostan o składzie: 6 Db, 3 So, 1 Gb¹, w wieku 82 lat, o pierśnicy Db 28 cm i wysokości 24 m, o zadrzewieniu 0,9, zwarciu umiarkowanym, na bonitacji II.* Las ten oglądaliśmy z dwukonnej bryczki, przy pomocy której gościnny gospodarz dał nam poznać najpiękniejsze partie swego leśnictwa. Była to dla mnie miła niespodzianka i wielka atrakcja. A więc wszystko się zgadza! Myślę, że mój Tato, tam po drugiej stronie, uśmiecha się, patrząc z zadowoleniem na wydobywanie tej historii z odległej przeszłości. Wygląd wysokich, prostych, pełnych i małosęcznych strzał w oglądanej dąbrowie świadczy o fachowych rękach gospodarujących tu leśników, o starannym doprowadzeniu drzewostanu do obecnego wieku, już bliskorębnego.

Od najmłodszych lat często towarzyszyłem Ojcu podczas jego zajęć w terenie, co zresztą wiązało się z atrakcją jazdy bryczką po lesie, jako że Tato posługiwał się wyłącznie tym środkiem lokomocji. W czasie tych wypraw wiele się nauczyłem, co okazało się bezcenną pomocą podczas późniejszego wdrażania się do zawodu leśnika.

Ojciec był dla współpracowników bardzo wymagającym szefem. Dwa razy w miesiącu odbywały się w leśniczówce odprawy gajowych, raporty itp. Gajowi stawiali się zawsze przepisowo umundurowani i składali meldunki za ubiegły czas. Raz w roku, w dniu swoich imienin (21 VI), Ojciec podejmował ich śniadaniem w pokoiku obok kancelarii. A było ich czterech. Pan Michałowski z obchodu Zdówrz, gdy przeszedł na emeryturę, obchód przejął pan Rojewski. Pan Antczak z obchodu Bocian, były wojskowy kawalerzysta, służbę pełnił w siodle, na znakomicie ułożonej Kasztance. Po nim nastąpił pan Józef Piotrowicz, weteran wojny rosyjsko-japońskiej (1904-1905), z werwą opowiadający swe przeżycia w lupanarach Władystoku i Chabarowska. Pan Augustyniak z obchodu Szarlata, ojciec licznej rodziny, był wielkim służbistą, prezentował się zawsze starannie i przepisowo. Pan Józef Wasiński, mieszkający w osadzie Bielawy, był gajowym pomocniczym, nie na etacie.

Kontakty z Nadleśnictwem w Łącku najczęściej ograniczały się do comiesięcznych wyjazdów na tzw. sesje leśniczych, co łączyło się z pobieraniem wynagrodzenia. Niekiedy były też okazją do koleżeńskich spotkań towarzyskich, najczęściej w przysklepowym lokalu pani Dąbrowskiej w Łącku. Kontakty pozasłużbowe z kolegami i przełożonymi nie były zbyt częste. Dom nasz utrzymywał stosunki towarzyskie z miejscowymi proboszczami, niektórymi kolegami i rodzinami nadleśniczych z Łącka. Pamiętam nazwiska nadleśniczych pp. Buczackich, Meissnerów, Hiszpańskich

i leśniczych pp. Stępiaków (leśnictwo Podgórze), Bandurskich (leśnictwo Choinek), Olechowskich (leśnictwo Łąck). Państwo Meissnerowie przenieśli się do Torunia, gdzie pan Meissner objął stanowisko inspektora. Po wojnie tam wrócił i przez szereg lat był naczelnikiem Wydziału Organizacji i Inspekcji, po czym przeszedł do pracy w Warszawie.

W naszej leśniczówce prawie zawsze pomieszkiwali różni praktykanci leśni, przedszkolni lub skierowani do nas na praktyczne zajęcia dla uzupełniania wiedzy nabytej w szkołach i uczelniach. Kilku z nich zapamiętałem, np. pochodzącego z Wielkopolski pana Mieczysława Wejmana (1912-1997). Chciał być leśnikiem, lecz zrezygnował i oddał się sztuce. Ukończył studia plastyczne i uzyskał sławę jako artysta malarz. Po wojnie objął rektorat Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Już podczas pobytu w Korzeniu malował wiejskie pejzaże. Dwa obrazy zostawił nam na pamiątkę, niestety nie zachowały się. Z prof. Wejmanem nawiązałem po wojnie korespondencyjny kontakt. Pamiętał o Korzeniu i przysłał mi kilka serdecznych listów. Innym praktykantem, którego zapamiętałem, był pan Gloksin, syn lekarza weterynarii z Gąbina. Ten pozostał w zawodzie i przed wojną pracował w lasach na Kresach wschodnich. Po wojnie powrócił jako repatriant na Pomorze Gdańskie i podjął pracę leśniczego, a następnie brakarza. Spotkaliśmy się w ostatnich latach XX wieku w Toruniu, gdzie Gloksin osiadł na emeryturze. Był moim sąsiadem w ogródku działkowym. Pamiętając jego nazwisko, zagadnąłem, czy przypadkiem nie był kiedyś w Korzeniu. Oczywiście wzruszające były powitania i opowiadania dwóch bardzo już starszych panów. Zapamiętał mnie jako ośmioletniego chłopca.

RODZINNY DOM

Osada leśnictwa w Korzeniu powstała przypuszczalnie w połowie XIX wieku, w okresie istnienia Królestwa Polskiego (zabór rosyjski). Moi rodzice sprowadzili się tu w połowie marca 1920 roku z Lubienia koło Piotrkowa Trybunalskiego. Przeprowadzka odbyła się koleją, dwoma wagonami towarowymi, do Żychlina (nie było wówczas linii kolejowej z Kutna do Płocka), a następnie wozami konnymi (ok. 30 km) do leśniczówki w Korzeniu. Rodzina składała się z czterech osób, oprócz rodziców przyjechał mój najstarszy brat Wincenty i siostra Anna. Reszta rodzeństwa ujrzała świat właśnie w tej leśniczówce. Przyjechał również w tych wagonach cały dobytek żywy (krowy, świnki, drób) i wszelkiego rodzaju meble i sprzęt domowy. W ogołoconym wojną kraju nie było możliwości nabycia tych rzeczy zaraz na nowym miejscu, stąd wszystko, co się posiadało, miało niezwykłą wartość.

Budynki w leśniczówce były drewniane, kryte gontem. Duży, solidnie zbudowany dom mieszkalny, miał na parterze cztery pokoje, kancelarię, kuchnię, przedpokój i werandę. Pomieszczenia były wygodnie rozłożone, wystarczały dla zaspokojenia potrzeb naszej rodziny i okresowych lokatorów (praktykantów i letnich gości spośród dalszej rodziny).

1. Zapis „6 Db, 3 So, 1 Gb” oznacza, że 60% drzewostanu zajmuje dąb (Db), 30% – sosna (So), 10% – grab (Gb) [przypr. red.].



Leśniczówka w Korzeniu od strony sadu, ok. 1930 r.



Leśniczówka w Korzeniu, widok od strony lasu, 1940 r.



Leśniczówka w Korzeniu, ok. 1930 r. Niedzielny wyjazd do kościoła.



Wnętrze dużego pokoju.



Leśniczówka w Korzeniu, rodzina słucha radia kryształowego, ok. 1931 r. Pierwszy z lewej Michał Sokołowski.

RODZINNY
DOM

Na górze obok poddasza znajdowały się jeszcze dwa dość obszerne pokoje. W jednym z nich mieszkała przez cały okres naszego pobytu w Korzeniu pani Filomena Soszyńska, nauczycielka pracująca w Szkole Powszechnej w Nowej Wsi. Codziennie rano dowożono ją bryczką do szkoły, wracała zaś pieszo. Była moją matką chrześnią. Popołudniami uczyła mnie w domu w zakresie szkoły podstawowej. Drugi pokój na piętrze zajmowaliśmy z bratem Jankiem w okresach ferii szkolnych, a w pozostałym czasie pełnił on funkcje pomieszczenia pomocniczego, np. spiżarni. Dom nie miał urządzeń sanitarnych, co nieraz przysparzało sporo kłopotu, zwłaszcza mieszkańcom „górk” i w chłodnych porach roku.

Na dole obok obszernej kuchni znajdował się nieduży pokój, w którym spędzaliśmy najwięcej czasu. Służył jako jadalnia, miejsce na codzienne czytanie prasy i książek, słuchanie radia. Na dużym owalnym stole Mama z upodobaniem stawiała pasjansa. My odrabialiśmy lekcje, a pani Filomena sekundowała nam w zajęciach. Za owym uniwersalnym pokojem znajdowała się jeszcze dość duża sypialnia, w której przyszedł na świat mój brat Janek (1921) i ja (1924). Znajdowała się tam rozwieszona na ścianie broń i przybory myśliwskie Ojca, w nocnym stoliku zaś przechowywany był jego pistolet. Korcił nas ten pokój w sposób szczególnie ze względu na ową broń, przedmiot nieustannego zainteresowania.

We wschodniej części domu najważniejszy był „duży pokój” – miejsce podejmowania gości i wydawania mniej lub bardziej wystawnych przyjęć. Nocowali tam też przygodni goście i odwiedzający nas krewni. W pokoju tym obiadał w połowie lat dwudziestych JE ksiądz kardynał Aleksander Kakowski.

Po wyjściu z „dużego pokoju” i przejściu przez korytarz-szatnię wchodziło się do „saloniku” – niewielkiego pokoju przeznaczonego na doraźne przyjmowanie gości, posiedzenia brydżowe itp. Tam było królestwo kwiatowe naszej Mamy. Różne doniczkowe filodendrony, asparagusy i wiele innych gatunków roślin zmuszały do uważania, aby czegoś nie przewrócić. A dalej była już tylko kancelaria naszego Ojca. Ona również mnie kusiła, były tam bowiem, obok mnóstwa ołówków i ciekawych przyborów biurowych, trzy karabiny wojskowe pozbawione amunicji i chyba nie bardzo już nadające się do strzelania. Pod nieobecność rodziców najlepiej bawiłem się w kancelarii. Raz zdarzyło mi się tam wypuścić z pudełek po zapalkach różne robaki leśne przyniesione przez gajowych jako efekt „próbnych poszukiwań szkodników sosny”. I była sroga bura.

Nasza pomoc domowa, dziewczyna z pobliskiej wsi, mieszkała w pokoiku obok kuchni. A w kuchni odbywały się cotygodniowe misteria pieczenia chleba, zawsze pod okiem naszej Mamy. W okresach okołoswiątecznych wszystko pachniało cudownymi wypiekami (legendy chodziły na temat liczby jaj, rodzynek, masła i innych dodatków użytych do tych ciast, według przepisów zawartych w sławnej księdze kucharskiej Lucyny Ćwierczakiewiczowej).

W kuchni przez parę lat kwaterował przybyły skądś półoswojony jeź. Był on niezmordowanym tępicielem karaluchów, których

w starym drewnianym domu nie brakowało. Nocami słychać było jego działania, z czego powstało imię Tuptuś. Przed zimą zaszywał się zawsze w jakimś niedostępnym kącie, aż raz wybrał sobie miejsce na wypełnionym mąką worku. Potem ktoś na ten worek nałożył drugi i po kilku miesiącach odkryto wysuszone już truchło Tuptusia. Był ogólny płacz.

Na obszernym podwórzu stały drewniane budynki gospodarcze, zapewniające możliwość hodowania koni, krów, świńek i drobitu. Nie było prądu ani żadnych urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych. Wodę czerpało się z podwórzowej studni, a ogrzewanie wszystkich wymagających tego pomieszczeń zapewniały piece opalane drewnem (na te cele leśniczy otrzymywał bezpłatnie 34 m przestrzenne drewna opałowego). Telefon zainstalowano dopiero w roku 1937, ale radio kryształkowe (słuchawkowe, pierwsze w całej okolicy) rodzice nabyli już wcześniej, chyba wkrótce po powstaniu polskiej radiofonii.

Najokazalszym budynkiem gospodarczym była duża dwuklepi-skowa stodoła (do leśnictwa należało około 9 ha ziemi ornej, więc plony były niemałe). Ze stodołą stykał się budynek inwentarzo- wy: stajnia na dwa konie, obora na dziesięć krów, spora chlewnia i kurnik dla mnóstwa kur, kaczek, indyków. Budynki te padły ofiarą pożaru, jaki wybuchł w nocy 15 sierpnia 1935. Dom mieszkalny zdołano uratować, a z płonącej stajni i obory wyprowadzono konie i krowy. Drobitu i chlewni nie uratowano. Było to podpalenie, jednak sprawców nie wykryto. Poszlaki wskazywały na Cyganów, którzy często koczowali w lesie, czego im Ojciec zabraniał, gdyż wyrządzali szkody wypasając konie na uprawach i zaśmiecali teren biwakowania. Po tym pożarze przez następne lata nie pokazywali się w ogóle w naszej okolicy. W ciągu roku powstały nowe budynki gospodarze, też drewniane, ale nieco mniejsze, bardziej funkcjonalne.

Wokół domowego obejścia znajdował się dość duży sad owocowy i ogród warzywny. Zapewniało to nam wystarczające ilości owoców i warzyw na domowe potrzeby. Do pracy w warzywniku w sezonie letnim był zaangażowany znający się na tym mieszkaniec pobliskiej wsi. Gdy po wielu latach, w maju 2011 roku, znalazłem się w obejściu osady, poznałem niewiele starych drzew, wśród nich wiekową lipę i rząd grabów stanowiących kiedyś żywopłot przy drodze dojazdowej do podwórza.

Prawie każdego dnia w leśniczówce zjawiali się przeróżni wędrowcy, rzemieślnicy, obnośni kramarze, a także ludzie potrzebujący wsparcia: kaleki, żebracy. Na przeludnionej wsi, podczas zastoju gospodarczego związanego z kryzysem lat trzydziestych, panowało ubóstwo, a dotkliwe bezrobocie w miastach zmuszało ludzi do szukania ratunku na wsi. Sytuacja ta była też powodem licznych szkód w lasach. Dotyczyło to głównie drobnych kradzieży drewna, tzw. defraudacji. Ojciec jeździł na rozprawy do sądu grodzkiego w Gąbinie, a sprawcom wymierzano najczęściej kary kilkudniowego pobytu w gminnej kozie w pobliskim Łącku. Skazani delikwenci mieli tam spokój i darmowe wyżywienie, być może nieraz lepsze niż ich domowa strawa.

Nie brakowało ludzi chętnych do pracy w lesie, a szczęściami byli ci, którzy zdołali znaleźć jakieś bardziej trwałe zatrudnienie. Dość wyraźna poprawa nastąpiła około 1938 roku, gdy ruszyły większe roboty publiczne, takie jak budowa asfaltowej drogi z Łącka do Sochaczewa i przygotowanie lotniska polowego w Łącku. Zmniejszyło się bezrobocie, a przybyłe w te strony młodzieżowe Hufce Pracy wniosły ożywienie w większą apatyczną ciszę. Nie trwało to długo – nadeszła wojna...

Ojciec mój sporo czasu poświęcał działalności społecznej w miejscowym środowisku rolniczym. Organizował kółka rolnicze, różne kursy oświatowe i gospodarcze dla młodzieży wiejskiej. Krzewił nowoczesne metody uprawy ziemi w tym dość zaniedbanym pod tym względem regionie. W domu wspominało się o kłopotach, w jakie popadł podczas realizacji zbiorowych zakupów nawozów sztucznych za uzyskane kredyty bankowe. Niestety, niektórzy odbiorcy okazali się niewypłacalni i Ojciec, jako żyrant, musiał te zadłużenia pokryć.

W początkach lat dwudziestych XX wieku mieszkańcy okoliczni podjęli starania o erygowanie w Korzeniu parafii rzymskokatolickiej. Do tego czasu wierni otrzymywali posługę religijną w parafii znajdującej się w odległym o dziesięć kilometrów Gąbinie. I w tym wypadku Ojciec przewodniczył tym staraniom, pisał petycje, jeździł z delegacjami do władz kościelnych w Płocku i Warszawie. Starania zostały uwieńczone powodzeniem i z dniem 1 grudnia 1927 roku powstała w Korzeniu parafia.² Przed tym jednak leśniczówka stała się miejscem przyjęcia i ugoszczenia Jego Eminencji kardynała Aleksandra Kakowskiego, ówczesnego administratora diecezji warszawskiej. Wydarzenie to zapisało się na długo w pamięci mieszkańców okolicy, a najwięcej wspomnień miała nasza Mama, wszak to na jej barkach i głowie spoczywała troska i odpowiedzialność za zabezpieczenie kulinarnej strony tej tak wysokiego szczebla wizyty.

Pod koniec międzywojnia całe moje rodzeństwo przez większość roku przebywało poza domem. Najstarszy brat Wincenty studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim (dyplom otrzymał w 1937 r.), siostra Anna, po zdaniu matury w gimnazjum w Płocku w 1938 roku, studiowała pedagogikę w Łodzi, starszy brat Jan, po uzyskaniu tzw. małej matury w płockiej Jagiellonce w roku 1938, podjął naukę w Państwowej Średniej Szkole Rolniczo-Leśnej w Żyrowicach koło Baranowicz (woj. nowogródzkie). Ja – najmłodszy z tego grona – wędrowałem przez kolejne klasy Jagiellonki. Rodzice ponosili znaczne koszty związane z utrzymaniem nas w szkołach. W domu się więc nie przelewało. Budżet ratowała Mama dochodami z przydomowego gospodarstwa, w czym szczególną rolę odgrywała hodowla indyków, które corocznie około Wielkanocy sprzedawano kupcowi z pobliskiego Gąbina. Najczęściej odbiorcą był pan Izaak Wróbel prowadzący w tej okolicy dość wszechstronne interesy.



Kurs gospodarczo-oświatowy w Korzeniu, IX 1927 r. W środku siedzi leśniczy Alojzy Sokołowski.



Pracownicy Nadleśnictwa Łąck, ok. 1928 r.



Nadleśnictwo Łąck, 1930 r. Pożegnanie nadleśniczego Józefa Buczańskiego. W pierwszym rzędzie od prawej siedzą E. Wandurski, Franciszek Stępiak, Alojzy Sokołowski.

Łąck 1936 r. – powitanie prezydenta RP Ignacego Mościckiego. Pod bramą powitalną oczekują przedstawiciele miejscowej elity, w głębi w ciemnym stroju Alojzy Sokołowski.



2. Kościół urządzono w budynku byłego spichlerza folwarcznego [przyp. red.].



Leśniczy Alojzy Sokołowski (w środku) podczas pracy z gajowymi Janem Antczakiem (z lewej) i Józefem Augustyniakiem (z prawej), ok. 1936 r.



Korzeń, lato 1940 r., przerwa w pracy. Od lewej gajowy Rojewski, Michał Sokołowski, gajowy Józef Piotrowicz.



Polowanie na króliki w obchodzie Zdwońrz, lato 1938 r. W środku siedzi prezes PTRP mgr Bolesław Włodkowski.

ŁOWIECTWO W KORZĘNIU

W ostatnich latach przed drugą wojną światową wschodnia część leśnictwa (około jego połowy) dzierzawiona była przez Płockie Towarzystwo Racyonalnego Polowania. Część zachodnia natomiast stanowiła łowisko będące w użytkowaniu Lasów Państwowych. Była tu obfitość zwierzyny drobnej (zając, królik, bażant, kuropatwa) i dobry stan saren. Jeleni i dzików nie było wówczas w ogóle. Jako ciekawostkę wspomnieć muszę obecność cietrzewi w zachodniej części obwodu. Pamiętam odstrzelenie jednego koguta przez któregoś z przybyłych myśliwych. Był to jednak pojedynczy przypadek, nigdy więcej nie spotykało się tu cietrzewi.

Myśliwi z Płocka utrzymywali swego strażnika łowieckiego, był nim pan Kujawa, a następnie pan Marciniak. Raz w roku odbywało się zimowe polowanie na zające i bażanty, latem polowano też niekiedy z nagonką na króliki, które w tej części łowiska występowały wręcz masowo. Dzielne rozkłady zimowych polowań oscylowały wokół liczby 50-80 zajęcy. Myśliwi przyjeżdżali zwykle wynajętym autobusem z umieszczonymi na dachu koszami z prowiantem i kotłem bigosu. Wszystko fundował prezes koła łowieckiego – pan Bolesław Włodkowski, właściciel apteki przy placu Narutowicza w Płocku, człowiek majątny i gorący pasjonat łowiectwa. Był wielkim przyjacielem naszej rodziny. Mieliliśmy prawo polować na tym terenie latem na króliki, z czego gorliwie korzystałem.

Zachodnia część kompleksu leśnego przeznaczona była głównie na letnie polowania z podjazdu na sarny rogacze. Każdego lata pojawiali się amatorzy tych łowów, często o znanych nazwiskach. Pamiętam Michała Mościckiego (syna prezydenta RP), generała Kazimierza Fabrycego, ministra sprawiedliwości Czesława Michałowskiego i kilku wysoko postawionych pułkowników. Przybywali zwykle o świcie samochodami z nieodległej Warszawy (100 km), nierzadko wprost od kolacyjnego stolika, w wieczorowych strojach. W leśniczówce czekał na nich konny wóz z jedną deską – tzw. linijka, furman i gajowy. Najważniejszym gościom towarzyszył też mój Ojciec. Po polowaniu, poczęstowani śniadaniem, goście odjeżdżali wraz ze swą zdobyczą do stolicy. Rogaczy było sporo, las wszędzie dostępny dla podjazdu, rezultaty łowów były więc z reguły pomyślne. Na polowaniu bywali też i miejscowi notable, np. dyrektor banku z Gostynina, powiatowy komendant policji, czasem trafił się jakiś bogaty przemysłowiec z Warszawy lub Łodzi.

Ojciec chętnie brał udział w polowaniach zbiorowych, traktując je raczej jako spotkania towarzyskie. Raz w roku, 26 lipca, w dzień imienin swej jedynaczki a mojej siostry Anny, przywoził rankiem z lasu upolowanego przez siebie rogacza. Stanowiło to swego rodzaju rodzinno-myśliwską tradycję.

Na tym administracyjnym terenie odbywały się też zimowe polowania zbiorowe dla pracowników nadleśnictwa, dyrekcji lasów i zaproszonych gości. Wtedy Mama szykowała w największym pokoju wieczorne przyjęcie dla wszystkich. Angażowała biegłą w sztuce kulinarnej kucharkę, a przygotowania trwały nawet kilka dni. Goście biesiadowali do późnego wieczoru, a my dzieciaki mieliśmy

wielką frajdę podpatrując i podsłuchując rozchoconych myśliwych. Nie znam strony finansowej tych imprez, myślę, że koszty pokrywali wspólnie ich uczestnicy.

KRZYŻ

Przy drodze wiodącej od strony Szczawina w kierunku Korzenia Królewskiego, w miejscu stykającym się z narożnikiem naszego sadu, od niepamiętnych czasów stał drewniany, dość wysoki krzyż. Miał on dwie poprzeczki, czym różnił się od pozostałych przydrożnych krzyży. Miejscowa legenda głosiła, że był to krzyż wotywny postawiony po ustąpieniu morowego powietrza, czyli epidemii cholery. Choroba ta bywała wówczas przynoszona do Europy podczas przemarszów wojsk rosyjskich. W naszej okolicy ruchy wojsk zaborcy mogły mieć miejsce w czasie Powstania Styczniowego, dlatego też przypuszczalny czas postawienia krzyża można określić na okres po roku 1863. W latach mojego dzieciństwa krzyż był już mocno leciwy. Stanowił miejsce corocznych modlitw podczas święcenia pól w maju, gdy „kwitły ciernie”, a ksiądz proboszcz w asyście rolników obchodził miedze. Pod tym krzyżem często modliła się moja Matka, ozdabiając jego otoczenie polnymi kwiatami. Piesze pielgrzymki podążające od strony Szczawina do sanktuariów maryjnych w niedalekim Dobrzykowie i odległym Skępem zatrzymywały się tu na chwilę wytchnienia, by z litanią loretańską na ustach ruszyć dalej. Gdy przyglądałem się tym ludziom, przeżywałem nieokreślone bliżej uczucie podziwu dla tego niecodziennego wydarzenia.

Gdy w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku zdarzyło mi się odwiedzić Korzeń, zastałem krzyż chyba już inny, z jedną po-

poprzeczką (nie pamiętam tego dokładnie). Wewnątrz okalającego płotka leżał na ziemi spadły tam ryngraf Matki Bożej Częstochowskiej wykonany ze zwykłej cynkowej blachy, pochodzenia najwyraźniej przedwojennego, w stanie daleko posuniętego zniszczenia. Zabrałem ten ryngraf z sobą, gdyż chciałem mieć jakąś pamiątkę z tego miejsca. W kwietniu 1998 roku dokonana została ekshumacja prochów mojej Matki pochowanej w grudniu 1947 roku w Krakowie. Szczątki zostały złożone w mogile mojego Ojca na cmentarzu w Lesznie koło Błonia. Do trumienki z prochami Matki włożyłem ów ryngraf znaleziony pod krzyżem w Korzeniu. Pozostawała wciąż we mnie wola złożenia choć skromnego wotum za łaski Boże doznane podczas pobytu naszej rodziny w Korzeniu. Podczas odwiedzin rodzinnych stron, w październiku 1990 roku, zostawiłem pod krzyżem ryngraf otrzymany od rodziny w rocznicę moich sześćdziesiątych urodzin. Ryngraf ten znajdował się tam do roku 2010, gdy obecny gospodarz leśniczówki, pan Fryderyk Walczak, zdecydował się na postawienie nowego krzyża, ponieważ dotychczasowy był już całkowicie spróchniały. Podczas demontażu znaleziono na starym krzyżu pozostawiony tam przeze mnie w roku 1990 ryngraf z inskrypcją, która pozwoliła na odnalezienie mojego nazwiska i adresu. Dzięki temu mogłem uczestniczyć we wzruszającej uroczystości poświęcenia nowego krzyża 7 maja 2011 roku. Mój ryngraf, wraz z inskrypcjami pana Walczaka i moją, znalazł tam nowe miejsce.

Wyrażam głęboką wdzięczność Opatrzności za łaskę dożycia do tej chwili, a Państwu Walczakom za trud wniesiony w sprawę odnalezienia mnie i zaproszenie na tę uroczystość.

Krzyż w Korzeniu; fot. Z. Miecznikowski.



WRZESIEŃ 1939

Wojna zaskoczyła nas, choć przecież wiele wydarzeń wskazywało na możliwość jej wybuchu. Ciągłe jednak mieliśmy nadzieję, że do niej nie dojdzie, a już nikt na pewno nie wyobrażał sobie tak dramatycznego jej przebiegu i tak dotkliwej klęski.

Już pierwszego dnia obserwowałem niemieckie samoloty zrzucające bomby na płocki most. Przy bezchmurnym niebie było je dobrze widać. Po paru dniach podwórze leśniczówki wypełniło się wozami uchodźców, w domu brakło miejsca na noclegi dla kobiet i dzieci. Uciekali ludzie z Pomorza, Wielkopolski, a następnie również z Mazowsza. Polami i drogami pędzono stada bydła, owiec, a nawet przechodziły całe stadniny koni z ewakuujących się majątków ziemskich. Zjeżdżali też uchodźcy z nadleśnictw, zorganizowani w tabory służbowo-rodzinne, wiozące skrzynie z aktami, broń i różne przedmioty służbowego wyposażenia.

Pod koniec pierwszego tygodnia września do Korzenia zjechał też tabor naszego nadleśnictwa z Łącka (nadleśniczy, inż. Jan Hiszpański, który już wcześniej wyjechał na swym niedawno nabytym motocyklu, zaginął bez wieści). Naszą rodzinę usadowiono z manatkami na podstawionej podwodzie i zaraz ruszyliśmy w nieznane. Przed wieczorem tabor dojechał do wsi Łuszczanów niedaleko Szczawina i tam, w chałupach wiejskich, zakwaterowaliśmy się na nocleg. Następnego dnia rano właściciele podwód odmówili dalszej jazdy. Zapowiadała się bezterminowa przerwa w podróży, gdyż miejscowi chłopcy odmawiali świadczeń podwodowych, a już rozpoczynała się wywołana ogólnym bałaganem anarchia. W tej sytuacji rodzice zdecydowali się wrócić do Korzenia. Pojechaliśmy z bratem rowerami do naszej leśniczówki, gdzie kwaterujący nasz znajomy, ewakuowany właściciel majątku z okolic Płocka, posłał po nas wóz z końmi. I tak zakończyła się ta – na szczęście krótka – dwudniowa tułaczka.

Okolice leśniczówki znalazły się na przedpolu wielkiej bitwy nad Bzurą. Niedaleko nas trwały kilkudniowe walki na przeprawie przez Wisłę w okolicy Płocka. We znaki dawał się ostrzał artyleryjski, nękający szczególnie w nocy. Od strony Łącka dochodziły odgłosy broni ręcznej i granatów, a w którymś dniu byliśmy świadkami bombardowania lotniczego pobliskiego Gąbina. Wtedy miasteczko to zostało zniszczone w 80%. Z podwórza obserwowałem ataki bombowców z niskiego pułapu na tłumy uchodźców wędrujących szosą w pobliżu Zdworza.

Obok leśniczówki przechodziło wiele oddziałów naszych wojsk, wszystkie wyczerpane długimi marszami. Przechodziły też oddziały Nowogródzkiej Brygady Kawalerii z wielką liczbą koni i taborów, podążające w kierunku Gąbina. Oficerowie i żołnierze wstępowali na chwile odpoczynku, a kuchnie polowe rozpałały kotły w alejce grabowej, ukrytej przed okiem wrogich lotników.

Niemcy pokazali się 18 września rano. Najpierw nadjechał konny patrol, następnie saperzy usunęli zaporę z kilku powalonych na drogę sosen przy wjeździe do lasu. Potem przez ponad godzinę przejeżdżały oddziały zmotoryzowanej jednostki artylerii w kierunku Szczawina.



Żniwa w Duninowie, 1942 r.; fot. M. Sokołowski.



Port rzeczny w Duninowie, zima 1942 r.; fot. M. Sokołowski.



Pociąg na moście w Płocku, 1938 r., fot. M. Sokołowski.



Korzeń, lato 1940 r., drugi od lewej ks. Władysław Mąkowski z Płocka.

W tym samym czasie, gdy drogą obok osady przejeżdżały niemieckie formacje wojskowe, wskoczył przez płot do ogrodu jadący na koniu od strony lasu polski żołnierz i porzuciwszy konia wbiegł do mieszkania. Był tak zszokowany, że nie mógł wymówić słowa. Zajął się nim Mama. Szybko wydobyła z szafy odzież mojego najstarszego brata, żołnierz się przebrał i zaopatrzony w porcję chleba dołączył do idących drogą cywilnych uchodźców powracających do swych stron, w kierunku przeciwnym do przejazdu wojska. Została po nim gniada klacz, która służyła nam aż do chwili wysiedlenia z leśniczówki (wiosną 1940 r. ożrebiła się u nas). Został też mundur żołnierza. Siodła nie było. Na polecenie Ojca spaliłem wojskową odzież pod kotłem parownika do ziemniaków, a bagnet wraz z pochwą schowałem w rabacie tyczkowej fasoli w warzywniku. Gdy się nieco uspokoiło, wyniosłem ów bagnet i dwa pistolety pozostałe po biwakujących tu uchodźcach do lasu i po solidnym zakonserwowaniu stearyną zakopałem w drewnianej skrzynce w pobliżu kamiennego słupka numeracji oddziałów. W roku 1944 będąc w Duninowie przekazałem informację o miejscu ukrycia tego „arsenału” emisariuszowi miejscowej placówki AK i po pewnym czasie dotarło do mnie ustne potwierdzenie o przejęciu broni w stanie zdatnym do użytku.

O uratowanym wówczas żołnierzu nigdy więcej nie słyszałem. Z zachowanego u nas jego identyfikatora, tzw. medalionu, wynikało, że nazywał się Wojciechowski (imienia nie pamiętam), urodził się w 1914 roku i pochodził z Jarosławia.

Nasz dom został zajęty przez sztab pułku ciężkich armat. Niemcy usadowili się w trzech pokojach, porozkładali sprzęt łącznościowy, a na podwórzu zaparkowało kilkadziesiąt samochodów i motocykli. Pozostali tu do niedzieli 24 września. Nie zachowywali się wrogo, byli raczej ciekawi naszego kraju, ludzi i obyczajów.

Po pewnym czasie okazało się, że służby wywiadu tej jednostki rozpytywały miejscowych, od dawna tu osiadłych, Niemców o na-

szą postawę w czasach przedwojennych. Czy aby nie czyniliśmy im krzywdy? Powiedzieli nam o tym Niemcy, których kilka rodzin mieszkało we wsi Piaski koło Annapola (ok. 2 km na południowy wschód od Korzenia). Była tam między innymi rodzina Cybartów (pisownia fonetyczna), którym przewodził pan o imieniu August. Ów August Cybart, z zawodu kowal, często nas odwiedzał w różnych sprawach gospodarczych i Ojciec lubił w rozmowie z nim odświeżać swoją, mało praktykowaną, znajomość języka niemieckiego. Wywoływało to zawsze wielkie zadowolenie u pana Augusta, jako że i jemu dawało okazję do ćwiczenia arkanów języka polskiego, którym on z kolei dość słabo władał. Możliwe, że okoliczność ta przyczyniła się do stosunkowo łagodnego traktowania naszej rodziny przez okupanta w początkowym okresie najazdu. Do niespodzianek, jakie mnie spotkały podczas odwiedzin Korzenia wiosną 2011 roku, dodać tu muszę jeszcze jedno niezwykle zdarzenie. Otóż gdy uczestniczyłem w uroczystości poświęcenia krzyża przy leśniczówce 7 maja, przedstawiono mi... pana Cybarta, mieszkającego w Annapolu, jako jednego z głównych wykonawców poświęconego właśnie krzyża. Okazało się, że jest to potomek (chyba wnuk) pana Augusta, którego przed chwilą wspominałem.³ Cała rodzina zasymilowała się w polskim otoczeniu i dzisiaj nie ma już śladu po dawnych różnicach etnicznych, religijnych czy obyczajowych.

Wiosną 1940 roku nastąpiły pierwsze wysiedlenia tutejszych rolników. Rozpoczęto od najzamożniejszych gospodarstw. Wszyscy poczuliśmy się zagrożeni i niepewni dalszych losów. Niemcy, sprowadzeni tu ze wschodnich obszarów Polski, przedstawiali bardzo niski poziom intelektualny, a przy tym byli pełni nienawiści do polskości. W leśniczówce pozostawaliśmy do połowy listopada

3. Był to wnuk Jakuba, brata Augusta Cybarta. W Annapolu mieszka on ze swoim ojcem, Henrykiem Cybartem (ur. 1929). Ten ostatni jest synem Jakuba, brata Augusta. Jakub Cybart ożenił się z Polką i przeszedł na katolicyzm, miał dwóch braci: Augusta i Adolfa. [przyp. red.]



Głaz narzutowy w lesie w Korzeniut, w pobliżu miejsca odkrycia cmentarzyska z okresu wpływów rzymskich; fot. Z. Miecznikowski.

1940 roku, kiedy to Ojciec został zwolniony z pracy, a osadę objął przybyły z Niemiec leśnik o nazwisku Dettke. Z dostatnio wyposażonego mieszkania pozwolono nam zabrać część umeblowania jednego pokoju, nieco sprzętów kuchennych, odzież i bieliznę osobistą. Z gospodarstwa łaskawie podarowano nam jedną krowę (a było ich chyba osiem), jednego wieprzka i kilka kur. Żadnej paszy ani ziemiopłodów. Z pomocą sąsiadów przewieźliśmy ten dobytek do opuszczonej szkoły w miejscowości Nowa Wieś, około trzy kilometry od Korzenia.

Tak zakończył się dwudziestoletni pobyt naszej rodziny w leśniczówce Korzeń, dokąd już nigdy nie powróciliśmy. Czas okupacji spędziliśmy w odległym o niespełna trzydzieści kilometrów Dunińowie nad Wisłą, a potem los rozproszył nas w różne strony. Ojciec z Mamą i siostrą Anną osiedli w Leśnictwie Nowe Budy w Puszczy

Kampinoskiej, bracia ruszyli w inne strony kraju, a ja trafiłem do Borów Tucholskich, gdzie wypadło mi spędzić całe dorosłe życie zawodowe. A starość przeżywam w Toruniu. Z Korzeniem łączę mnie mnóstwo ciągle tak samo żywych wspomnień. Parokrotnie odwiedziłem miejsce rodzinnego domu. W nim przeżyłem najlepsze lata dzieciństwa i wczesnej młodości. Stąd wyniosłem etos patriotyzmu, a wychowanie w rodzinnych tradycjach dało mi wiarę w szanse przetrwania w wielu trudnych, czasem wręcz beznadziejnych, sytuacjach, jakich nam dwudziesty wiek nie szczędził.

Serdecznie dziękuję rodzinie Państwa Walczaków z leśniczówki w Korzeniut za zainteresowanie się historią tego miejsca. Zainspirowało to mnie do wydobycia z pamięci ukrytych tam wrażeń i wrócenia do nich w formie niniejszych wspomnień. ■

Fragment lasu w Korzeniut z dębami zasadzonymi przez Alojzego Sokołowskiego; fot. Z. Miecznikowski.



MIESZKAŃCY LEŚNICZÓWKI W KORZENIU

W LATACH 1920-1940

- Alojzy Sokołowski – Ojciec, leśniczy, zmarł 22 IV 1965 w wieku 83 lat jako emerytowany leśniczy Kampinoskiego Parku Narodowego, spoczywa na cmentarzu parafialnym w Lesznie koło Błonia;

- Wanda Maria z Radłowskich Sokołowska – Matka, żona Alojzego, zmarła 21 XII 1947 w wieku 63 lat w Krakowie. Jej prochy zostały ekshumowane i złożone w mogile męża na cmentarzu w Lesznie koło Błonia;

- Wincenty Sokołowski – syn, mgr praw, pracownik Instytutu Badań Jądrowych, zmarł 19 VIII 1956 w Warszawie w wyniku choroby popromiennej w wieku 44 lat. Urna z ziemią zawierającą jego prochy została złożona w mogile rodziców na cmentarzu w Lesznie koło Błonia;

- Anna z Sokołowskich Materska – córka, nauczycielka, zmarła 14 IX 1971 w Grodzisku Mazowieckim w wieku 52 lat. Urna z ziemią zawierającą jej prochy została złożona w mogile rodziców na cmentarzu w Lesznie koło Błonia;

- Jan Sokołowski – syn, leśniczy, zmarł 15 VI 2001 w Koninie w wieku 80 lat jako emerytowany leśniczy, został pochowany na tamtejszym cmentarzu;

- Filomena Soszyńska – najbliższa przyjaciółka rodziny, zmarła w wieku 75 (?) lat w Warszawie;

- Michał Sokołowski – syn, ur. 28 IX 1924, inżynier leśnik, jest emerytowanym pracownikiem Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych, mieszka w Toruniu.



Kościół parafialny w Korzeniu; fot. Z. Miecznikowski.

W LEŚNICZÓWCE W KORZENIU W LATACH 1939/1940

UKRYWALI SIĘ

- ks. Nieporęcki – proboszcz z Osieka koło Rypina, przedostał się w okolice Warszawy.

- ks. dr Władysław Mąkowski – dyrektor Archiwum Diecezjalnego i Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku. Gdy przebywał w Korzeniu, został przypadkowo wykryty i brutalnie pobity na naszych oczach przez żandarmów z Łącka. Ojciec mój zdołał go wydostać z rąk hitlerowców i zorganizować przerzut do Generalnego Gubernatorstwa przez zieloną granicę przebiegającą niedaleko Gąbina.

Toruń, w czerwcu 2011, uzupełniłem w lipcu 2012.

W domu Henryka Cybarta w Anopolu, od lewej Fryderyk Walczak – leśniczy z Korzenia, Henryk Cybart, Tomasz Kordala; fot. Z. Miecznikowski.

